Tom XI. Nr. 12.

21. października 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gawęda o gromadzie.

II.

Kościoł i szkoła.

Mówiłem wam już w zeszłym Dzwoneczku o tem, jak każdy kmieć powinien we wszystkiem pomagać gromadzie i czy to pracą czy groszem przyczyniać się do jej dobra. Kto tego nie robi, ten niewart, aby mu pomagała i gromada, bo i zacóż miałaby mu pomagać, jeżeli on jej w niczem nie pomaga?

Mówiłem wam także, że wtedy tylko gromada może być porządną i dobrą, jeżeli każdy kmieć, co do niej należy, w każdej potrzebie gromadzkiej nie żałuje ani ręki ani kieszeni, jeno ochotnie razem z innymi składa się na to wszystko, co jest dobre i potrzebne.

Jeżeli się w której gromadzie tak dzieje, to wtedy ta gromada ma siłę po temu, aby była dobrą i porządną.

Posłuchajcież teraz, jak wygląda gromada dobra i porządna.

Otóż najpierw, kochani ludkowie, w każdej dobrej gromadzie powinna być oddaną przynależna chwała Bogu i naszej świętej wierze. A więc powinien być kościoł porządny i czysto utrzymywany, aby się ludzie mieli gdzie pomodlić do Stwórcy.

Widziałem ja niejedną wieś w naszej ziemi, co miała kościołek lichy i obdarty, że się aż żal serdeczny robił, gdy się człek na niego popatrzył. Toć w tej lub owej gromadzie dotychczas nieraz porządniejsza jest karczma niż kościoł, co przecież jest świątynią dla Pana nieba i ziemi.

Powiedzcież mi sami, co sobie każdy człowiek pomyśli o takiej gromadzie, gdzie kościołek pochylony, brudny, zaniedbany?...

Każdy sobie pomyśli, że w tej wsi nie mieszkają dobrzy Chrześcijanie, jeno jacyś heretycy, co ani na Boga ani na religję swoją nie dbają.

Dlatego też każda dobra gromada starać się powinna o to, aby miała schludny i czysty kościołek. Nikt tam tego nie żąda, a nawet sam Pan Bóg tego nie wymaga, aby biedni rolnicy mieli murować ogromne kościoły, takie wielkie i przepyszne, jak gdzie po miastach, bo gdzież stać na to ubogim wieśniakom?

Ale porządek i czystość zawsze być powinny, i niechaj sobie kościołek będzie skromny i ubogi, byle widać było, że gromada się o to stara, aby wyglądał po bożemu, że nie żałuje ręki do naprawy, jeżeli jej potrzeba i że nareście nie poskąpi i grosza, aby świątynię Bożą utrzymać w dobrym stanie.

Ale Pan Bóg nie wymaga od człowieka, aby się jeno zawsze modlił, nakazuje On także, aby człowiek dbał także o serce i rozum, aby jedno i drugie ulepszył n a u k ą.

Nauka moi kochani to skarb największy, a człek, co się niczego nie nauczył za życia, choćby miał bogactwa niezmierne, to nie wart nawet, aby się zwał człowiekiem. Nauka we wszystkiem ludziom potrzebna, czy w chwale Bożej, czy w pracy, czy w zabawie — zgoła w całem życiu człek pomagać sobie powinien nauką.

Dlatego też dobra gromada dbać powinna także o to, aby

we wsi nie brakło ludziom i nauki. A jakże ludzie nabywają nauki?

Oto w szkołach. W każdej dobrej i porządnej gromadzie musi być szkoła.

Szkoła nie tak dużo kosztuje, jak się to niejednemu zdaje. Byle wystawić jaką chatę porządną dla dziatek i nauczyciela i złożyć się dla niego na jaką małą płacę, ot i będzie szkoła. A która gromada zakłada szkołę, to jej pewnie i dwór pomoże i ksiądz się przyczyni, tak że jeno trochę pracy i starania, a dziatki będą się mogły uczyć jak pan Bóg przykazał.

Żadna gromada, która niema szkółki, nie może być porządną i dobrą. Jeżeli ją jeszcze u siebie nie założyliście, to wstydźcie się tego bardzo, i starajcie się z całego serca, aby szkołę jak najrychlej pobudować. Bo inaczej każdy z was będzie miał ciężki grzech na sumieniu, że dał wyrość swoim dziatkom jak badylu leśnemu bez nauki.

Przyznajno się każdy, coś niepiśmienny, ile to razy markotno ci było, żeś się za młodu nie nauczył pisać i czytać?... Ile to razy byliby cię źli ludzie nie oszukali, nie zbałamucili, nie pokrzywdzili, gdybyś był uczony?...

Bo chociaż sobie spokojnie mieszkasz na roli, to przecież potrzeba ci koniecznie mieć jaką taką naukę. Czy to pomodlić się Bogu z nabożnej jakiej książki, czy to odczytać albo napisać jakieś pismo urzędowe, czy list do syna co jest w wojsku — zawsze potrzeba ci nauki.

Jak porachujesz, ile ty za całe twoje życie zapłacisz pisarzowi, to pewnie gdybyś tą sumą złożył się z całą gromadą, byłaby we wsi szkoła.

Albo czy to nie prawdziwa uciecha, jeżeli w niedzielę lub święto jakie, zamiast pójść do karczmy i zapijać się obrzydłą wódką, siądziesz sobie do jakiej zabawnej książki i czytasz z niej sobie i dziatkom na ucieszenie i naukę?...

Powiadam wam raz jeszcze, że taka gromada, gdzie nie ma szkoły, nie warta się zwać nawet gromadą, bo żyje w ciemnocie jakby dzicy ludzie! Otoż dlatego w każdej gromadzie dobrej i porządnej powinna być koniecznie szkoła.

*

Ale dzieje się znowu nieraz i tak, że choć jest we wsi szkoła, to o nią nie dbają ludzie i dzieci nie posyłają na naukę.

Niejeden to z was prawi:

— Większy ja mam pożytek z tego, że mi mój Antoś lub Magdusia pasie bydło lub w chacie usłuży, jak że się uczy w szkole.

Oj mówię, ci, że nie pożytek to, ale szkoda, wielka szkoda dla ciebie, a sroga krzywda dla dzieci. I Antoś i Magdusia będą mieli jeszcze czas pracować dla ciebie i dla siebie — ale do nauki to już później czasu mieć nie będą. Bo im dziecko robi się starsze, tem lepiej może pracować. A z nauką nie tak. Jak minie wiek młody, już i po nauce! *Czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan nie nauczy.* A potem dzieci narzekać będą na rodziców, że ich uczyć nie dawali, tak jak z was niejeden narzeka, jeżeli go źli ludzie obałamucą i pokrzywdzą z tej racyi, że niepiśmienny i nieuczony.

A więc niedość na tem, aby gromada wybudowała szkołę i opłacała nauczyciela, potrzeba także, aby szkołę tę i nadal wspomagała i dzieci do niej posełała.

Pomagać zaś trzeba szkole zawsze. Bo to z czasem nie jedno się w niej popsuje, to trzeba naprawić i polepszyć. Czy to tablica, czy takie obrazki, co na nich miasta i rzeki całego świata są namalowane, czy książki jakie — to wszystko trzeba ochotnie kupować dla szkoły, bo inaczej dziatki nie będą mogły wszystkiego się wyuczyć, jak należy.

Porządna, czysta szkoła, w której jest dobry nauczyciel i dużo dziatek — to najlepsze świadectwo, że gromada jest porządna i dobra.

Na drugi zaś raz rozpowiemy wam dalej, co jeszcze oprócz tego potrzeba dobrej gromadzie.

Rankiem jesiennym.

Ledwo z łąk nam zeszły kwiaty,
Zeszło z pola zboże —
Już i ptaki opuszczają!
Hej, hej, miły Boże!

Ciche, blade i samotne
Gaje, łąki, łany —
I człek po nich idzie milcząc,
Cichy, zadumany.

Posępnie się dumka snuje,
Jak ta mgła po ścierni,
Jak ta srebrna pajęczyna,
Co się czepia cierni.

Przecież gdy na chwilę błyśnie
Słońce, choć z ukosa,
To tak cudnie człeku świeci
Ta przędza i rosa!

Ach, tak cudnie, że tęczami
W dal się mienią ściernie,
Że się zdaje, iż na radość
Ojciec sieje ciernie!

Rusin z Więckowic.

Tańcująca komora,

czyli:

Przygoda targowa Błażka Kociubki.

Spisałem wam w poprzednim numerku ucieszną historyjkę, co mi ją opowiadali mój nieboszczyk dziadek o pani Przypeciowej, a dziś wam opowiem inną gadkę o tańcującej komorze. Przytrafunek tak ten mi opowiadał nieboszczyk starowina:

— Kiedym służył u Baltazara Przypecia, co to jego żona drożej przedawała nieżywego koguta niż dojną krowę, sąsiadował z nami o płot Błażek Kociubka.

Błażek był niema co mówić porządnym gospodarzem i pewnie nie marnował ojcowskiej spuścizny, bo nie lenił się, jeno pracował, choć to wam powiadam, był sobie człeczek maleńki jak prałnik nieprzymierzając, a pan organista Ciupiliński mawiał nieraz żartem, że go zamknie do swojej tabakierki.

Ale jeszcze nikomu tego za złe nie wzięli, że nie wyrosł jak jawor — toć i nasz Błażek Kociubka byłby sobie mimo to był człeczkiem niczego, gdyby nie brzydka wada, od której się nie mógł odzwyczaić.

Oto widzicie, kochani ludzie, Błażek lubiał grać w karty i to jeszcze w najgorszą grę do tego, bo uczciwszy uszy w taką, co ją ludzie durniem nazywają. Nieraz to i nie dwa razy mówili mu sąsiedzi:

— Ej Błażku, nie grajcie w durnia, bo was kiedyś na durnia wystrychną!

Ale Błażek nie chciał się żadnym sposobem od kart odzwyczaić. Gdybyć tam był jeszcze grał o honor tylko jak tam mówią, albo o dziurkę z obwarzanka, no to i mówićby o czem nie było. Cóż kiedybo Kociubka grał o pieniądze i nieraz to sporą garść groszy przegrał marnie.

We wsi nikt tam z nim nie chciał grywać, bo i nikt nie umiał tego niepotrzebnego cygaństwa, ale jak się kiedy Błażek wyrwał do miasta na targ, jak nie zaszedł z jakimiś szachrajami do szynku — to grał choćby do jasnego dnia i wracał do domu bez pieniędzy, a czasem bez świtki lub kożucha.

Otóż posłuchajcie, jaką miał z tej racyi termedyję Błażek Kociubka. Było to w Marcu Tęgi był mróz na dworze, aż śnieg trzeszczał jak buty od staromiejskich szewców. Błażek prawie pół roku siedział był w domu i nie grał w karty, więc go też ogromnie korciło i nie dla potrzeby ale dla durnia pojechał na targ do miasta.

W mieście nie miał co robić bo mało miał sprzedawać a jeszcze mniej kupować, więc postawił konie gdzieś tam koło jakiegoś domu na opiekę Bożą, a sam poszedł do szynku pod złotego szczupaka.

W szynku pod złotym szczupakiem było luda jak nabił, a między nimi niejeden urwisz, co to się kręci jeno na to po świecie, aby kogoś oszukać i otumanić. Ledwie Błażek łyknął dobrze miodku, bo wódki nie pijał, a już się przysiadł do niego jakiś hultaj ze świata i rozpoczął gawędę.

Słowo po słowie, aż naraz powiada Błażek Kociubka do hultaja:

— Ej możebyśmy sobie zagrali w karty?

Hultajowi w to graj, umie on szachrować kartami, jak żyd krédą! Więc mówi do Błażka:

— A dlaczegoż nie, toć zagrałbym sobie z serca, jeno się boję żebyście mnie niebardzo oskubali, bo jak uważam, to wy gracz musicie być nielada!

Błażek wziął to za prawdę i bardzo go to wbiło w pychę, więc mówi z uśmiechem:

— Ej nie nie paneńku, jakoś to będzie!

— A w co gramy?

— At... w d u r n i a! — mówi Błażek.

— A to niechaj będzie i w d u r n i a! — rzecze na to ów hultaj i już naprzód się cieszy, że oskubi Błażka jak gęś na św. Marcina.

Ułożyli sobie, ile ten zapłaci, kto przegra, i poczęli grać w durnia, albo żeby lepiej powiedzieć we dwa durnie, bo jeden był karcianny, a drugi żywy, to jest Błażek Kociubka.

Ów hultaj obgrywa okrutnie Błażka, bo szachruje na rozmaite sposoby i cwancygier po cwancygierze ucieka z kieszeni Błażkowi.

Gdybyż było przynajmniej na samej grze stanęło — to byłoby jeszcze pół biedy było. Ale gdzież tam! Hultaj zobaczył u Kociubki dużo pieniędzy i zaraz począł przemyśliwać, jakby je wyszachrować. Ale Błażek się już jakoś opamiętał i dalej grać nie chciał.

— Kiedy tak — mówi ów hultaj — to się choć napijmy miodu!

— Ha... to co innego — myśli sobie Błażek — kiedy mi szelma obegrała to niech przynajmniej zapłaci miodu!

Poczęli tedy pić, Błażek całem gardłem leje w siebie jak w suchy piasek, a ów miejski urwisz tylko po trosze. W końcu wyszło na to, że Błażek się spił jak trąba i padł jak kłoda pod ławę. A noc zrobiła się już ciemna. Wtedy wyciągnął go ów hultaj z szynku na dwór, odebrał pieniądze do krajcara, zdjął z niego kożuch, pas, świtkę, czapkę baranią i nowe buty. Błażek nie słyszał tego ani trochę, bo leżał bez duszy i jeno ciężko stękał raz po razu.

Gdy go już ów hultaj rozebrał prawie do gołego, uciekł coprędzej.

Tymczasem wyszli jacyś dwaj mieszczanie z szynku i zobaczyli Błażka. Gdyby byli trzeźwi, możeby go byli poratowali, ale że im przy targowym dniu mało co brakowało, aby sobie tak nie zasnęli jak Błażek, więc zamiast ratować poczęli się śmiać bardzo z niego i obmacywać nogami. Naraz zobaczył z nich jeden, że o kilkadziesiąt kroków stała pod jakimś domem komora próżna z mąki.

— A co to nam szkodzi — mówi do swego kumpana ze

śmiechem — wsadzić tego bałwana do tej komory, cieplej mu trochę będzie!

I jak powiedzieli tak zrobili. Wepchali Błażka do komory, zatrzasnęli wieko i odeszli śmiejąc się i spiewając.

Gdy tak Błażek leży sobie bez pamięci w komorze, pogonił rabuś do swego domu het na końcu miasta, gdzie razem mieszkał z dwoma innymi takimi urwiszami. Co targ wychodzili ci wszyscy trzej łotry między ludzi i każdy z osobna coś ukradł lub wyszachrował, a potem w nocy rachował każdy, ile swem grzesznem rzemiosłem zarobił.

Otoż i ten drab, co tak djablo ogolił Błażka, a zwał się on Chapek, przyszedłszy do domu zapalił świecę, zaryglował drzwi i począł oglądać, co zrabował biednemu Błażkowi. Przerachował pieniądze, oglądnął kożuch i buty i resztę, i bardzo się uradował, że mu się wszystko tak dobrze udało.

Gdy już się nacieszył swoją zdobyczą mówi sobie:

— Hej, hej! a gdzie to się moi obaj przyjaciele tak długo bawią? Ciekawy też jestem co z sobą przyniosą Drapek i Łapek? (bo tak się zwali obaj drudzy oszuści).

Gdy tak mówi, zajechała jakaś fura przed domek rabusiów i ktoś począł mocno stukać do drzwi.

— Kto tam? — pyta Chapek.

— To my Drapek i Łapek! Otwieraj Chapek! — odpowiadają z zadrzwi.

Chapek otworzył i patrzy a tu Drapek i Łapek dźwigają jakąś komorę.

— A wy co niesiecie? — pyta ich Chapek.

— Figę niesiemy! Powiedz lepiej, że wieziemy, bośmy przytaszczyli jakiś wóz z końmi, co sobie stał na osobności. A po drodze tośmy wzięli tę skrzynię, jakaś ciężka, snać w niej także coś się znajdzie.

Chapek ogląda komorę, widzi że jakaś nowa i porządna i że ciężka, więc wszyscy trzej cieszą się już naprzód. Ale wieko jakoś mocno się trzymało i nie można było roztworzyć, choć komora nie była zamknięta.

— At dajmy pokój! — powiada jeden — lepiej zjedzmy

i napijmy się czego, a potem ja pójdę do tych koni, com ich ukradł na mieście, a wy rozbijecie komorę.

Rabusie ziębli i zgłodnieli na targu, więc nie długo im mówić o jadle i napitku. Zastawili sobie stół rozmaitą strawą, dobyli tęgiej flaszki z wódką i poczęli sobie biesiadować.

Kiedy tak trójka łotrowska, Chapek, Drapek i Łapek zajadając i popijając rozmawiają z sobą — naraz coś się poczyna ruszać i stukać...

— A to co?... — pyta jeden.

— Ot przysłyszało ci się i kwita! — odpowiada drugi.

Jedzą tedy dalej i piją jak susły, aż tu znowu zaczyna coś okrótnie trzeszczeć i stukać. Skoczyli wszyscy trzej urwisze od stołu i patrzą, a tu owa komora, co ją Drapek i Łapek ukradli i przywieźli kradzionemi końmi, poczyna się to podnosić, to przechylać, to skrzypie to trzeszczy.

— Aj! aj! komora tańcuje! komora tańcuje! — wołają draby i mało im oczy nie wylezą z głowy.

A tu tymczasem komora roztańcowała się na piękne!... Już kiwa się i kłapie, jak żyd w tańcu patynkami, aż nareście trzask się zrobił ogromny, wieko odskoczyło do góry z strasznym hałasem, potem w górę poleciał kurz biały jak z mąki, a za tym kurzem wyskoczył jakiś upior biały jak wapno, cały a cały!..

— Gwałtu! rety! — krzyknęli z ogromnym strachem trzej oszuści i aż skamienieli na miejscu.

A tu ów biały upior jak nie skoczy jednym susem na nich z zakrzywionemi pazurami, aż komorę obalił! Chapek w nogi! za nim Drapek, a za Drapkiem Łapek i nuż uciekać na podwórze a z podwórza na drogę w śmiertelnym strachu.

A co tymczasem biały upior robił? A toć patrzcie, otarł twarz, wdział na siebie kożuch Błażka, wziął jego buty, zabrał pieniądze, czapkę baranią założył na czuprynę i przemówił sam do siebie:

— Tym razem jakieś wielkie szczęście mi pomogło — ale na drugi raz Błażku nie graj w durnia i nie włócz się po jarmarkach!

Domyślacie się już zapewne. że ten biały upior to nie był

nikt inny, jeno sam Błażek Kociubka, co go po owym przytrafunku z rabusiem Chapką wrzucili pijani mieszczuchy do komory z mąki.

Kiedy Błażek leżał w tej komorze, zabrali rabusie jego wóz i konie, a jadąc do domu zobaczyli po drodze tę komorę, złakomili się na nią, wzięli z sobą i tak sobie sami biedę do domu przywieźli!

Odebrawszy, co było jego, wyleciał Błażek duchem na podwórze — a tu patrzy na podwórzu stoją jego konie! Ucieszył się niezmiernie, siadł na wóz i zaciął szkapy, które ci urwisze zabrali byli w nocy i jeszcze niemi Błażka w komorze przywieźli do swej kryjówki złodziejskiej. Kiedy Błażek wyjechał z dziedzińca, zobaczył Chapka, Łapka i Drapka, jak się skulili pod płotem z ogromnym strachem i bali się wrócić do domu.

— Bądźcie mi zdrowi! — zawołał do nich Błażek i ściągnął jednego z nich biczem po czuprynie — zabrałem co moje i życzę wam dobrej nocy!

Dopieroż ów Chapek, co grał w szynku durnia z Błażkiem i odarł go do naga, poznał, kto to był ten upior! Puścili się oszuści w pogoń za Błażkiem, ale Błażek już był za górami.

Taka to dziwna i ucieszna przygoda spotkała Błażka Kociubkę na targu — i już od tego czasu ani w karty nie grał ani do miasta bez potrzeby się nie włóczył.

Wojtek ze Smolnicy.

Sołtysianka.

Opowiedział Stach Barwinek.

I.

Nie było na cztery mile do koła człowieka, któryby cudów nie rozpowiadał o fortunie i bogactwie sołtysa z Wrotnowic, Błażeja Sołody. Był to bowiem sobie kmieć bogaty co się zowie, że cztery pary butów schodzić a drugiego takiego nie znaleźć! Toć bywało, kiedy człowiek za jakim interesem przejeżdża przez Wrotnowice i zapyta:

— A czyja to ta wielka i piękna chata pod gontem?

To ludzie zaraz odpowiedzą:

— A jużciż że sołtysa Sołody!

— A ta pasieka hen w sadzie?

— Sołtysa Sołody!

— A to bydło piękne i spasione jak gałki?

— Sołody!

— A to długie pole z tem pięknem zbożem?

— Sołody!

I to Sołody i owo Sołody, co najpiękniejszego i najwartowniejszego we wsi całej, to wszystko sołtysa Sołody! U Sołody huk pola, ziarna pszenicznego góry, karbowańców w kalecie jak maku!...

Aleć klnę się sumieniem, za nic to jeszcze wszystko było! Wszystko to bogactwo, to nic naprzeciw córki sołtysa Sołody, czarnookiej Hali! Oj śliczneż to śliczne było dziewczę! Oczki jak tarki, liczko jak róża, usta jak korale, gdyby śnieg ząbki białe!... Świat przewędrować, oczy wypatrzyć, nogi poschodzić, a dzieweczki takiej drugiej nie odszukać między ludźmi:

Wiedzieli o tem parobcy z Wrotnowic, bo każdy przepadał i w żywy ogień by skoczył za Halą, wiedział sołtys, bo kochał dziewoję i pieścił jak cacko, wiedziała i Hala sama, bo już nawet na chłopców i patrzeć nie chciała!

Oj gdybyż była nie popatrzyła na żadnego, tylko została wierną Grzesiowi, póki życia licha by nie była znała!

— A któż był ten Grześ?... — zapytacie mnie ludzie.

Posłuchajcie jeno cierpliwie, o wszystkiem wam opowiem, ciekawa to historyja, choć smutna i niedługa...

Jakom wam już powiedział z góry, był sołtys Błażej Sołoda kmieć bogaty bardzo i nie zabrakło tam u niego w chacie niczego, co należy do dobrego życia i szczęścia. Przy tem zaś wszystkiem był Sołoda człekiem uczciwym i zacnym, co własną pracą dorobił się dobytku, a nigdy w całem swem życiu nie uganiał się krzywemi drogami za zyskiem lub krzywdą ludzką

To też błogosławił mu Pan Bóg, a swoboda i byt dobry nie wychodziły nigdy z chaty. Sołoda miał żonę zacną, dobrą i pracowitą, że każdy by takiej gospodynie mógł pozazdrościć

tylko. Pod opieką starej Sołodowej wzrosła i Hala dziewucha, piękna i urodziwa jak malowanie, o której także już była mowa.

Rodzice kochali Halkę jak własną źrenicę i co tylko dziewczę zachciało, to zaraz ojciec i matka kłopotali głowę, aby jej na tem nie zabrakło. Bo też była jedynaczka a Sołodowie niczego tak nie pragnęli, jak szczęścia swojej dziewuchy. Więc też i korale i pierścienie srebrne i kwieciste spodniczki i sukmanki strojne — wszystkiego tego miała huk córka sołtysowa.

Ale czego jej rodzice dać nie mogli, temci ją pan Bóg obdarzył. Młoda Sołtysianka była, jak już powiedziano, hoża jak łania, zgrabna i wiotka jak kalina!... A przy tem wszystkiem było to dziewczę dobre i serce miało poczciwe, jak pan Bóg przykazał, jeno że matka i ojciec rozpieścili ją po trosze.

Był zaś we wsi parobczak poczciwy i pracowity, chłopiec porządny i tęgi, a dobry przy tem, że jeno do rany go przyłożyć. Zwał się Grześ Staniek. Cała gromada kochała tego Grzesia jak syna, bo wszystkim był życzliwy, wszystkim pomógł, wszystkim usłużył.

Matka Grzesia, stara Marta, była uboga wdowa, bo jej po mężu została tylko szmatka gruntu i chałupina od biedy — ale Grześ stanął jej za cały majątek, bo chłopak pracował za dziesięciu i starą matkę żywił i pielęgnował.

Otoż ten Grześ pokochał nad życie Halkę Sołtysiankę, a Halki serce skłaniało się do niego także i w całej gromadzie mowa była o tem, że z Grzesia i Halki będzie kiedyś piękna i dorodna para. Stary sołtys Sołoda nie sprzeciwiał się temu, bo choć był najbogatszym we wsi kmieciem, nie pogardzał ubogimi, a Grześ, że był dobry i pracowity, przypadł mu od razu do serca.

Było to z końcem lata w Niedzielę. Grześ wychodząc z kościoła spotkał się z Halką i odprowadzał ją do domu. Po drodze poczęli mówić z sobą, jak to bywa między młodymi ludźmi, o swem kochaniu — a Grześ chwycił za rękę Halkę, uścisnął ją z serca i zapytał:

— Halu! życie ty moje! czy kochasz mnie dziewucho?...

Hala poczerwieniała od wstydu jak róża, pochyliła główkę na dół i szepnęła z cicha:

— Kocham Grzesiu! kocham bardzo!

Grzesiowi aż oczy się zaiskrzyły od szczęścia i tuląc do siebie Sołtysiankę, pytał dalej:

— Halu a czy pójdziesz ty za mnie?...

Halka jeszcze się bardziej zawstydziła, wyrwała się z rąk Grzesiowi i rzekła:

— Jak rodzice pozwolą to pójdę... — i pobiegła naprzód do domu a Grześ patrzał długo za nią i tak mu miło było na sercu, jakby mu pan Bóg nieba przychylił.

Zaraz tej samej Niedzieli po południu wysłał Grześ swaty do sołtysa Sołody, a Sołoda mile ich przyjął i odpowiedział:

— Wiedział ja ci oddawna, że się Grześ z moją Halką kochają i wcale mi to nie markotno. Bo choć Halka moja jedynaczka i wszystko, co mam, do niej należy, to Grześ także nie ubogi, bo ma więcej niż największe majątki, dobre serce, zdrowe ręce i chęć do pracy. Niech się więc pobiorą i niech żyją w łasce Bożej!..

Nie potrzebuję wam opowiadać, jak się Grześ ucieszył na tę odpowiedź, prawie nic mówić nie mógł od wielkiej radości. Halka była także mocno uradowana, bo kochała Grzesia bardzo i tak oboje oczekiwali z upragnieniem wesela, które się miało odbyć jesienią.

Ale napisano jest w księgach świętych: „Szatan nie spi, ale czycha, jako lew, kogoby pożarł!...“ Tak i w tym wypadku nie długo było tego szczęścia dla Grzesia i Halki, bo na kilka tygodni przed samem weselem zaszedł taki wypadek:

W tej samej wsi, gdzie mieszkał sołtys Sołoda, był kowal Niemiec, który przed kilkunastu laty zawędrował był do wsi. Niemiec był majstrem dobrym, niema co mówić, ale jakim on tam był człowiekiem, tego już nie wiem, choć tam strasznie coś źle mówili o nim ludzie.

Otoż do tego kowala przyjechał naraz jakiś daleki jego krewniak, co służył dawniej wojskowo. Był to młody, gładki chłopak, ale nieroba i hultaj. Zwali go z niemiecka *Franc*, a on sam nie był ni Niemiec, ni Czech, ni Polak, jeno jakiś dziwoląg cudacki. Mówił trochę po czesku, mieszał italiańskie wyrazy i bardzo był z tego dumnym, że się na niego głupi

parobcy patrzali jak na jakiego mędrca — gdy on tymczasem głupi był nieprzymierzając jak sprycha.

Boć tak to na nieszczęście zawsze bywa między naszym poczciwym ludkiem polskim, że jak się nawinie jaki urwis, co się w cudacki strój ubierze i jakimś brzydkim językiem szwargoce, to ludzie myślą, że to Bóg wie co za rozumny i uczony człowiek.

Otóż tak i z tym Francem było. Wszyscy chłopcy mieli to sobie za honor, jeżeli Franc z nimi poszedł na kieliszek wódki, choć sam nigdy nie płacił, a pił jak gąbka — a dziewuchy wiejskie to się i napatrzyć na Franca nie mogły. Franc ubierał się w Niedziela i święto w jakiś krótki kabacik i kraciastą kamizelczynę, na głowę wdziewał czapeczkę z żółtym sznurkiem, a na kamizelce przewieszał stalowy, błyszczący łańcuch od zegarka i chodził z wielką pychą po wsi jak bocian, myśląc, że Bóg wie, co on za pan wielki.

Tak wałęsał się ten Franc przez kilka dni po wsi, aż zobaczył piękną sołtysiankę, Halkę. Podobała mu się bardzo ta dziewucha, a że się dowiedział, że stary Sołoda ma wielki dobytek, począł zaraz mizdrzyć się i palić cholewki do Halki. A Halka niewierna, choć ślubowała Grzesiowi, że pójdzie za niego, dała się obałamucić przez tego przybłędę, że już o Grzesiu i zapominać poczęła. Podobało się jej to bardzo, że Franc wygląda z pańska, że umie szwargotać cudzemi mowami, i powoli tak sobie dziwczę zawróciło głowę, że dla Franca przestało kochać poczciwego Grzesia.

Nie wiedział o tem stary Sołoda, bo się Franc i Halka kryli przed nim z bojaźni, biedny Grześ także o tem nie wiedział, bo Halka udawała przed nim także, że go kocha. Ale raz wrócił Grześ z miasta i przyniósł Halce prześliczną wstążkę barwistą. Zobaczył ją właśnie na podwórzu przed chatą, i przybiegł do niej, a ściskając z serca jej rękę prosił, aby wstążkę od niego przyjęła.

Ale Halka jakoś krzywo popatrzyła się na Grzesia i wstążką odsunęła od siebie. Grześ spojrzał na nią z zdziwieniem, a tu patrzy, na palcu Halki świeci jakiś przecudny złoty pierścień z drogiemi kamieniami!

— Hałku! — zawołał Grześ — Hałku! co to za pierścień!?...

Halka zaczerwieniła się po uszy i schowała rękę.

— Kto ci go dał? powiedz! — wołał Grześ i serce go okrutnie zabolało, bo przyszło mu nagle na myśl, że Halka mu jest niewierną.

Ale Halka zamiast odpowiedzieć łagodnie Grzesiowi, rozgniewała się nagle i zawołała:

— Franc mi dał pierścień, bo mnie Franc kocha i ja go kocham! — i rzekłszy to uciekła od Grzesia.

Grześ stał przez chwilę jak skamieniały. Oddech mu się zaparł w piersiach i zdawało mu się, ze mu serce pęknie z bolu, że rozum w głowie mu się zamięsza!... A potem łzy potoczyły mu się z oczu, i blady jak trup poszedł powoli do swej chaty...

(Co dalej — na drugi raz wam opowiem.)

RÓŻNOŚCI.

Mąż i żona. Pewien wieśniak pracował ciężko przez cały dzień w polu. Przez cały ten dzień tak deszcz lał, że nie pozostała się na owym wieśniaku sucha nitka. Spracowany i zmokły, wraca przed wieczorem do domu. Kiedy wchodzi do izby, wychodzi żona naprzeciw niemu do sieni, i rzecze:

— Mój miły mężu! cały dzień tak lało na dworze, żem nie mogła wyjść i wody przynieść do domu, i dla tego wieczerzy ugotować ci nie mogłam. Tyś tak przemókł, że już bardziej zmoknąć nie możesz; przynieś mi więc kilka wiader wody.

Oczywista prawda, zmoknąć bardziej nie można. Mąż więc nic nie mówi, bierze wiadra i idzie po wodę do dalekiej studni. Kiedy wrócił, żona siedziała wygodnie przy ogniu, palącym się na kominku.

Nic nie rzecze, tylko wylewa wodę z jednego i drugiego wiadra na głowę żony, odzywając się:

— Teraz, moja żono, przemokłaś tak jak ja, nie ma suchej nitki na tobie, bardziej przemoknąć nie możesz; idź więc do studni, nanoś wody i ugotuj mi wieczerzę.

Lał deszcz i na drugi dzień, ale kiedy wieśniak wrócił z pola do domu, zastał już wodę w wiadrach i wieczerzę gotową.

Kalendarz na rok 1865. W Warszawie wydrukowali dla was, kochani ludzie prześliczny kalendarz na rok 1865. Są tam przeróżne piękne hi-

storyje i opowiadania, i z historji polskiej i z religji świętej i z wiejskiego życia — a przy tem i wierszyków i piosneczek serdecznych nie mało. Ale na tem nie koniec. Jest w tym kalendarzu piękny złocisty obrazek cudownej Matki Boskiej Ostrobramskiej i wizerunek Pana Jezusa w cierniowej koronie, a oprócz tego jeszcze około 60 obrazków innych rozmaitych, że aż się odpatrzeć nie można! A to wszystko razem nie kosztuje tylko 40 krajcarów. Toć gdyby u kramarza kupić tylko same takie obrazki, toby kosztowały więcej, a cóż dopiero te przerozmaite historje, gadki i powieści, co w tym kalendarzu są nadrukowane! Bardzo wam radzimy kupić sobie taki kalendarz — bo to kalendarz człeku zawsze potrzebny, a do tego jeszcze taki, co z niego nie tylko wygoda, ale nauka, pożytek i zabawa. Ktoby sobie chciał zapisać taki kalendarz na przyszły rok, ten niechaj jeno napisze do Lwowa do pana księgarza *Wilda*, że chce *Kalendarza dla ludu polskiego*, i przyszle 40 krajcarów, a będzie go miał za parę dni.

Mądry Michaś. — A czy w domu tato, Michasiu?

— Nie. Poszedł sobie szkodę robić?

— Co ty pleciesz? A to jak?

— A tak. Koło tatowego pola ciągnie się droga, a właśnie przy samem polu bardzo się popsuła i zapadła a teraz to ją i woda zalała. Kto jedzie do miasta, to w tem miejscu skręca na pole tatowe, aby przez tę bajurę nie jechał. Tato grodzą tam zawsze płot, aby ludzie przez pole nie jechali, ale gdzie tam, ludzie popsują płot i jeżdżą znowu polem. Otóż teraz poszli tato znowu grodzić płot, i znowu sobie tylko szkodę narobią.

— A ty jakby zrobił Michasiu?

— Ja bym nabrał szutru i trochę gałęzi, zasypałbym tę bajurę na drodze i miałbym raz na zawsze spokój, bo już by ludzie wtedy jeździli drogą a nie przez pole.

Nie ma co mówić, Michaś dobry miał rozum.

Pisarz Dzwonka przypomina wam kochani ludzie, że jeśli tylko z was który zechce o czem dowiedzieć się i pouczyć, niech duchem pisze do nas, a my mu tu na wszystko dokumentnie odpiszemy. Ale pocztę to już raczcie w takim razie opłacać sami, bo tu we Lwowie drożyzna, to o grosz nie tak łatwo. Także jeśliby wam się zatrącił jaki numer Dzwonka, to napiszcie który, a my go wam wyszlemy, a w takim interesie to i poczty opłacać nie potrzeba, jeno napisać na liście za to *reklamacja* i listu nie pieczętować. Zaś adres do nas taki: „Redakcya Dzwonka we Lwowie, w drukarni p. E. Winiarza.“ Albo jeśli tam kiedy który z przyjaciół Dzwonka przyjedzie do Lwowa, a chciałby się z nami widzieć, to też niech prosto do tej drukarni idzie. I jeszcze o to was proszę, abyście nie zapominali o *Dzwonku.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.